

## Z orografii polskiej. Szczyt Turowskiego

Pomysł, by jako autor pokaźnej ilości starannie zniszczonych u progu lat 90. meldunków, informujących o samopoczuciu, poglądach i troskach Jana Pawła II i Giedroycia, zaprezentować światu swoje podniosłe dystychy („chmury wieków złączy chwili mirra / nocą światła śmierć odwodząc ku wieczności”) czyni z p. Tomasza Turowskiego godnego następcę Hillary’ego i Tenzinga: ten człowiek naprawdę nie lęka się sięgać szczytów.

Ilekroć, zwłaszcza w wakacyjnym czasie, sięgnę po mapę Tatr czy Bieszczadów, znów doświadczam niewesołej prawdy: naprawdę nowe, nieodkryte szczyty – za wyjątkiem może kilku sopek Mandżurii czy urwisk w Andach – już nie istnieją. Oczywiście, nie do wszystkich gór ustawia się taka kolejka jak na Giewont czy Czomolungmę, zdobycie byle beskidzkiej kiczery może kosztować nas kilka godzin osuwania się po mokrych liściach i przedzierania przez ostrężyny, ale to nie wystarczy, żeby poczuć się odkrywcą. Dopóki nie nadejdzie epoka wędrówek po płaskowyżach Księżyca czy Marsa na nowe szczyty możemy liczyć wyłącznie dzięki metaforyce, kolekcjonując rozmaite bezprecedensowe osiągnięcia rodzaju ludzkiego: szczyty odwagi, wytrwałości czy odporności na chłód.

Nie trzeba do tego Księgi Rekordów Guinnessa i komisji specjalistów: każdy kto śledzi bodaj wrywkowo polską kulturę i życie publiczne, ma okazję dostrzec kolejnych rekordzistów, testujących granice ludzkich

możliwości. Ot, Arkadiusz Gruszczyński – krytyk literacki „Gazety Wyborczej”, którego dorobkowi poświęcać muszę więcej niż dotąd uwagi – jednym zdaniem wspina się na turnie skromności, w zestawieniu z którą osiągnięcia dawnych ascetów i minstrelów wydają się ucztą Saradanapala. Pisze mianowicie red. Gruszczyński, omawiając tomik wspomnień Tomasza Jastruna, że „częste podkreślanie fizycznych cech kobiet (...) dyskwalifikuje go [Jastruna] jako osobę publiczną”. Redaktor cytuje nawet z obrzydzeniem dwa szczególnie ohydne określenia („uderzająco ładna” oraz „ładna i szczupła”), podsumowując „te fragmenty burzą most między moim pokoleniem a generacją Jastruna”. Trudno wprowadzić powiedzić, czy wykluczenie kogoś ze sfery publicznej za użycie słowa „szczupła” to jeszcze pruderia, czy już wokeizm, niewątpliwie jednak mamy do czynienia ze szczytem, co sugeruje zresztą metaforyka architektoniczna („burzą most”).

Z podwójnym szczytem mamy do czynienia w dziedzinie słowotwórstwa niebinarnego, gdzie odważnie rywalizują ze sobą „człończe” i „osoba dramaturżująca”. Szczyt głuchoty językowej zdobyć postanowił ghostwriter Kancelarii Prezydenta RP, pisząc w tweecie o tragicznej śmierci strażaków w Poznaniu „nadzieja tliła się do końca”. Dla mnie jednak szczytem, który rzucił cień na wszystkie inne, jaśniejac nad horyzontem, okazał się opublikowany w tych dniach przez Wydawnictwo Melanż skromny tomik poezji autorstwa Tomasza Turowskiego.

Przypomnijmy, za Wikipedią i podręcznikami historii, choć osobom ciekawym polskich spraw biografia ta jest przecież, hasłowo bodaj, znana: pan Tomasz, poeta i rusycysta wykształcony w Krakowie, kolega Adama Zagajewskiego z grupy poetyckiej „Teraz” – w roku 1973

zaciągnął się do służby w Wydziale XIV Departamentu I MSW. Wyznaczony do pracy agenturalnej w Watykanie, został przyjęty do nowicjatu jezuickiego w Warszawie, od połowy lat 70. był zaś klerykiem w Watykanie. Tam, pracując w sekcji polskiej Radia Watykańskiego, posługując się dźwięcznymi kryptonimami „Orsom” i „Ritter”, obficie informował SB (być może również innych zleceńodawców) o owocach podglądu, podsłuchu, perlustracji i innych plugastw, szczególną uwagę poświęcając osobie Karola Wojtyły. Już jako absolwent Gregorianum trafił w 1980 do jezuickiego ośrodka *Meudon Centre Russe*, rozpracowując opozycję polską i rosyjskich emigrantów. W połowie lat 80., jak elegancko ujmuje Wikipedia, „powrócił do Polski i rozpoczął współpracę ze Stronnictwem Demokratycznym”. W III RP, jak wiemy, podjął błyskotliwą karierę ministerialną i dyplomatyczną, której ukoronowaniem była funkcja ministra pełnomocnego w Ambasadzie RP w Moskwie, z której zrezygnował w roku 2011.

Nawet w tak okrojonej formie (a gdzie publicystyka młodego kleryka na łamach „Civiltá Cattolica”? Gdzie wykłady w Wyższej Szkole Gastronomii i Hotelarstwa w Poznaniu?) jest to, przynajmniej, życiorys imponujący. A zarazem już sam pomysł, by jako autor pokaźnej ilości starannie zniszczonych u progu lat 80. meldunków, informujących o samopoczuciu, poglądach i troskach świetnie dobranego grona, od Jana Pawła II po Giedroycia, zaprezentować światu swoje podniosłe dystychy („chmury wieków złączy chwili mirrą / nocą światła śmierć odwodząc ku wieczności”) czyni z p. Turowskiego godnego następcę Hillary’ego i Tenzinga: ten człowiek naprawdę nie lęka się sięgać szczytów.

Pomyślcie tylko o tej rozpiętości doświadczenia ludzkiego, sięgnąwszy jednocześnie do dokonń polskiego argotu – i do wersów spisanych w ciepłym jeszcze tomiku. Pruć się przed towarzyszem majorem – i „To od Bizancjum powiew kadzidlany”. Sprzedawać komuś chleba – i „już dojrzewają chwile w czas”. Odwalać kapuchę z Lafitami – i „Pod obojętnym sklepieniem galaktyk / apokalipsą grzywy rumaków rozwiane”. Pluć do ucha na emigracyjną oficynę *Editions Spotkania* – i „przez bursztyn oczu przesypujesz czas / piaskiem poznania”.

Ta odwaga nie opuszcza p. Turowskiego ani na chwilę. Ktoś mniejszego ducha, rojący o tym, by „zacząć od nowa”, by, spędziwszy dekadę nad gorzką miską pokuty, kreślić pojedyncze słowa jak szczeble, po których można się wspiąć z dna upadku – porzuciłby pewnie wcześniejszy dorobek, tak straszliwą ceną okupiony. Ale gdzie tam! Wydawca nie zaniebuje żadnej wzmianki o dokonaniach kleryka, filozofa i ambasadora, wymieniając na skrzydełku elegancko wydane go tomiku, obok wywiadu-rzeki z Wojciechem Czuchnowskim i Agnieszką Kublik („Kret w Watykanie”, Agora, 2013) oraz licznej prozy sensacyjno-hematologicznej („Dżungla we krwi”, „Krwawiące serce Azji”, „Moskwa nie boi się krwi”) – również nieznanym krajowym bibliografom Turowskiego album „Jan Paweł II” oficyny Pama Graphicolor, Rimini 1980. Już w 1980 wydawał albumy o naszym papieżu – prawda, jakie to miłe?

Wobec podobnego szczytu człowiek staje po trosze oniemiały, jak wobec widzianego z dołu Starorobociańskiego czy masywu Tienszan. Bo co właściwie jeszcze można by powiedzieć? Jak wypowiedzieć żal za zmarnowanym życiem legionu pokutników, od Edypa po Jacka Soplicę, którzy nie podzielili się ze światem swoimi erotykami? A przecież ich

ornitologiczny rozmach („i drzenie ust jak trzepot skrzydeł”) każe myśleć z szacunkiem nie tylko o sile wyobraźni poetyckiej p. Turowskiego, lecz i o jego upodobaniu do albatrosów.

Prostoduszni moralisci będą się może gorszyć czy wydziwiać; filologiczni szczegółarze czepiać się będą strof tak mistrzowskich jak „Jest chwila jak pęknięta nagle struna dźwięku” lub „milczenie kamienne / w burzy dźwięków nawisłe nad nami” (jest tego więcej, diapazon poetycki Tomasza Turowskiego jest równie wysoki jak szczyt, który – *Exegi monumentum...* – wzniósł własnym piórem). Ja pozostaję przekonany, że zbiorek ten jest szczególnym, godnym odnotowania świadectwem rozmachu ludzkiego ducha – choć być może patrząc nań powinniśmy myśleć, w rewersie, nie tyle o Gangkhar Puensum (7570 m n.p.m., najwyższy niezdojany szczyt świata), co o Rowie Mariańskim.

Jest jednak możliwa jeszcze inna interpretacja. Zbiorek „Czas jeszcze...” można przecież odczytywać jako świadectwo – więcej, wyznanie, którego nie udało się ująć słowem inaczej niż w dystychu. Nawet rozmowa z kimś tak empatycznym jak Wojciech Czuchnowski nie wystarczyła; trzeba było lat, by opublikować słowa „I wiemy dobrze – nie można zawrócić / i wiemy dobrze, że razem idziemy”, które padły, jak skwapliwie informuje nas autor, w sierpniu 2010 roku w Moskwie. Czy adresowane były do tego samego rozmówcy, co czterowers „To wszystko będzie potem / gra półcieni w zimnych lustrach prawdy / odliczanie srebrników, miski soczewicy / i plewy stające się ziarnem”? Jakich odległych lat, jakich procedur towarzyszących rekrutacji dotyczyć może zdanie „Teraz już widzisz jedną rzekę szlaku / odciski palców swoich coraz dalsze / wiesz już, że zmienić nic się nie da / że najważniejsze z tobą zostaje na zawsze”?

Trudno, czytając te słowa, nie pomyśleć, że rezygnacja Tomasza Turowskiego z kariery dyplomatycznej była przedwczesna. I być może, w obliczu dynamiki, z jaką podejmowane są dziś decyzje personalne w resorcie spraw zagranicznych, uda się stworzyć dlań placówkę RP w Nepalu lub Bhutanie – tam, gdzie miałyby blisko do szczytów na miarę jego dokonań.

*Wojciech Stanisławski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---